

## **OSTATNIE OFIARY STALINIZMU W POLSCE W OKRESIE STANU WOJENNEGO 1981-1983 I ICH OBROŃCY**

---

**Wywiad z Andrzejem PERLAKIEM  
przeprowadzony przez Grzegorza Kaczorowskiego  
w Bytomiu Odrzańskim, dn. 11 czerwca 2008 roku**

Nazywam się Grzegorz Kaczorowski, jestem ankieterem Fundacji KOS, która prowadzi badanie zatytułowane „Ostatnie ofiary stalinizmu... i ocalmy od zapomnienia”. Celem badania jest zebranie świadectw osób będących ofiarami represji w okresie 1945- 1989, ze szczególnym uwzględnieniem okresu stanu wojennego. Ponieważ nasza praca ma charakter dokumentacyjny, nasza rozmowa będzie rejestrowana za pomocą dyktafonu oraz kamery.

**Czy mógłby się Pan przedstawić?**

Andrzej PERLAK

**Gdzie i kiedy Pan się urodził?**

Urodzony 22 marca 1954 roku w Nowej Soli.

**Chciałbym porozmawiać z Panem chwilę na temat historii Pana rodziny: kim byli Pana rodzice, jaki zawód wykonywali?**

Moi rodzice byli rolnikami. Mama już niestety nie żyje trzeci rok. Ojciec jeszcze żyje. Pochodzą ze wschodu, z powiatu brzeżańskiego, województwo tarnopolskie. Przyjechali tutaj w 45 roku. Pierwotnie osiedlili się na Opolszczyźnie, na pograniczu czeskim. Kilka lat później przybyli tutaj w te okolice środkowego Nadodrza. Mieszkali, po zawarciu małżeństwa w Pięknych Kątach leżących po drugiej stronie Odry, kilka kilometrów stąd. W 62 roku sprowadzili się do Bytomia Odrzańskiego. Do końca prowadzili rolnictwo. W tej chwili gospodarstwo po nich prowadzi brat, właściwie mój najmłodszy brat. Mój średni brat prowadził, natomiast niestety ciężko się rozchorował, i wtedy brat najmłodszy Zbigniew dzieli swój czas między Akademię Rolniczą, gdzie jest adiunktem we Wrocławiu, a gospodarstwo, że by zupełnie nie podupadło jest na takim stopniu minimalnym, żeby nie nastąpiło wtórne zdziczenie prowadzi to, żeby przetrwało.

**Czyli ma Pan jeszcze dwóch braci...**

I siostrę. Mogę powiedzieć jeszcze, że moi rodzice stanowili w połowie lat 50- tych taki szaniec przeciwko kolektywizacji, kiedy np. u kołyski mojego brata, który się urodził na początku roku 56-go, całymi tygodniami siedział agitator i agitował za wstąpieniem do spółdzielni produkcyjnej. I wieś w zasadzie postawiła sprawę w ten sposób: jak się Perlaki wpiszą do kołchozu, to my się też wpisujemy. Perlaki się nie wpisali. Więc, że tak powiem pewien opór, pewną taką niechęć do komunizmu, można by powiedzieć, że wysłałem z mlekiem matki. Moi dziadkowie, czy wujek, byli zaprzysiężonymi żołnierzami Armii Krajowej w czasie II wojny światowej właśnie w Galicji Wschodniej.

## **Jakie wartości w Pana rodzinie były szczególnie ważne? Patriotyczne?**

Oczywiście. Więc to było przywiązanie do polskości. Mieszkała moja rodzina na wschodzie, w wiosce, i ze strony ojca i ze strony matki, gdzie Polacy stanowili mniejszość. Byli to prości ludzie, rolnicy, średniorolni, jakby tak po peerelowsku powiedzieć. Natomiast stanowili oni jednak jakąś ostoję polskości i przed wojną, również w okresie okupacji. Mój dziadek ze strony matki np. został wygarnięty przez Ruskich latem 44 roku i wywieziony do Donbasu, do kopalni. Tam pracował do roku 46. Pamiętam z jego opowieści, że tam tylko trupy wywoził taki siwy koń tymi chodnikami. I wyjechał stamtąd wygłodzony, zabiedzony i z wielką niechęcią do czastuszek, bo raczej były głodowe, ale orkiestra grała czastuszki, więc dziadek już do końca nie mógł tego znieść, bo mu się to bardzo źle kojarzyło. I zresztą dziadek jak już chodził do głosowania, to nie był już twardy opór, ale zawsze wchodził do kabiny i sobie kartkę do głosowania brał do domu. Mówił: „Wiesz, ja sobie muszę to przeczytać.”. Tak że to był taki drobnutki opór, zresztą opór rolniczy, to była, po prostu dobrze wiedzieli co to jest kolektywizacja, bo zaznali jej już w końcu 39 roku, tam na wschodzie. I tutaj nie było już, po przejściu przez Donbas, po przejściu również przez roboty (jeden z moich wujków był na robotach w Niemczech od 42 do 45). Więc z totalitaryzmem mieli do czynienia praktycznie, no i stąd też pewna tradycja, powiedziałbym bardziej taka katolicko-narodowo-zachowawcza, że ja po prostu miałem wrodzoną niechęć. I jeżeli był mus w szkole czy później na studiach, przejścia, tego spędu pierwszomajowego, to traktowałem to jako niesamowite upokorzenie, jak to Rzymianie robili pokonanym przejście pod jarzmem. Więc tak to traktowałem od początku. I wobec tego to również spowodowało wybór przeze mnie kierunku studiów. Byłem najstarszy w domu. Poszedłem na historię po to, żeby zajmować się np. stosunkami polsko-ukraińskimi i napisałem pracę magisterską na temat wojny polsko-ukraińskiej w latach 1918-19 w Galicji Wschodniej. Natomiast później po studiach zacząłem, nie skończyłem, studia doktoranckie. To tam się zajmowałem troszeczkę spółdzielczością ukraińską. Chciałem to traktować jako, że tak powiem, jako badania nad tą bazą organizacji Ukraińców OUN i UPA, jako bazą taką, gdzie pracowali, gdzie była baza finansowa itd. Natomiast niezbyt głęboko się w to wgłębiłem. Zaczęła się Solidarność i zacząłem działać w Solidarności. Natomiast z taką działalnością opozycyjną to związałem się już w 77 roku. Bezpośrednio po studiach jeszcze pojechaliśmy z Almatyrem do Rzymu. Niestety papież Paweł VI był wtedy chory, więc nie byliśmy na audiencji, natomiast w kościele św. Stanisława dostałem i przemyciłem do Polski dwie książki. Jedna z nich to była taka, Solski się nazywał facet, taki komunizujący facet, który stopniowo odszedł od komuny, to to pamiętam. Więc to było pierwsze moje takie otwarte złamanie komunistycznego prawa. Natomiast miałem to szczęście, że byłem na studiach magisterskich u prof. Henryka Zielińskiego. Pomagał nam również prof. Wrzesiński z Instytutu Historii. I ci dwaj profesorowie mieli taką metodę, że udzielali zezwolenia na korzystanie z prohibitów w stopniu maksymalnym. Więc jak miałem ten temat pracy magisterskiej, to miałem to pozwolenie do Ossolineum, czy do Biblioteki Uniwersyteckiej, że mogłem w maksymalny sposób z tego korzystać, no więc tam czytałem m.in. i te „Poboga” Malinowskiego, inną literaturę wydaną na emigracji, również i druki banderowskie wydawane czy to w stanie, jeszcze w czasie wojny, czy później przez tą ukraińską emigrację w Anglii, więc miałem pewną, oprócz tradycji rodzinnej, miałem możliwość pewnego pogłębienia wiedzy na obszarach mnie interesujących. Natomiast takie wejście już w opozycję to było po śmierci Pyjasa. Wtedy we Wrocławiu to był wstrząs. Bo tak przedtem władza trochę biła, trochę przeganiała przez ścieżki, już po tych Helsinkach było budownictwo socjalistyczne trochę się załamywało z powodu barku dewiz, no więc Gierek, że tak powiem, troszeczkę już

balansował. Natomiast śmierć studenta Pyjasa ona odbiła się nie tylko echem w samym Krakowie, ale również i we Wrocławiu. Wtedy mieszkałem w domu studenckim ITD na ulicy Pocztowej, na Krzykach we Wrocławiu. I koledzy ogłosili, że jest Msza w katedrze. Wtedy poszedłem z nimi do katedry. Traktowałem to jako taki imperatyw, że przyzwoitość wymaga, żeby się w to zaangażować. Następnie zaangażowałem się nie jako osoba z pierwszego szeregu, lecz sądzę, że raczej spoza pierwszej setki, w pracach Komitetu Samoobrony Studenckiej we Wrocławiu. Uczestniczyłem w wykładach Jana Walca, który prowadził je w takim kościółku zaraz za mostem Grunwaldzkim, w pobliżu Politechniki. Uczestniczyłem w zbieraniu pieniążków na te wydawnictwa, na tę samopomoc. Raz popełniłem taki mały tekst pod pseudonimem Andrzej Barański w „Biuletynie Dolnośląskim” dotyczącym rolnictwa. I to tak trwało przez te lata. Przez rok jeszcze pracowałem, do 78 roku, do końca sierpnia pracowałem w Ossolineum, więc to było ściślej. Później jeszcze też dojeżdżałem do Wrocławia jak były jakieś Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej. Otrzymywałem tą bibułę. Powiem tak, że na moim roku byli tacy ludzie jak np. Krzysztof Turkowski, który dosyć dużo działał w tej działalności podziemnej. Kontaktowałem się, przynajmniej raz pamiętam jedno spotkanie z Maciejem Ziębą, z prof. Bartoszewskim. Był wtedy pod tzw. „czwórka”, w duszpasterstwie akademickim. Więc to były takie moje kontakty. No i oczywiście te Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej, co było robione we Wrocławiu. Więc to był mój taki jakby kurs przygotowawczy.

**Czy podejmując tę działalność opozycyjną już na początku miał Pan świadomość jakichś represji? Czy znał Pan ludzi, którzy już wtedy jakichś represji doświadczyli na własnej skórze?**

To znaczy ja zdawałem sobie sprawę Jak rodzina pochodziła ze wschodu, to zdawałem sobie z tego sprawę, że to jest tak jak mówią Ruscy dosyć tak rubasznie, że gra z komunizmem, to jest trochę tak jak pożycie z tygrysem: trochę śmieszna i trochę straszna. Tak że z tego sobie dokładnie zdawałem sprawę. Ja mogę powiedzieć, że zachowywałem się troszeczkę ostrożnie. Robiłem to, natomiast ja byłem pierwszym w rodzinie, który skończył studia, więc czułem się poniekąd odpowiedzialny za młodsze rodzeństwo. Moi dwaj bracia i siostra skończyli Akademię Rolniczą we Wrocławiu.

**Czyli poszli po linii tradycji rodzinnej?**

Tak, poszli po tej linii. Nawiasem mówiąc najmłodszy brat i siostra, która jest jeszcze młodsza, najmłodsza, stan wojenny zastał ich na strajku na Akademii Rolniczej. No więc pewna tradycja rodzinna szła powiedzmy takiego zachowania się obywatelskiego, poszerzania granic wolności. Ja wychodziłem z takiego założenia, że trzeba, jak jest możliwość, maksymalnie posunąć się. Jeżeli władze w drugiej połowie lat 70-tych były trochę chwiejne w tej polityce represji: zamykały na krótko, biły i później wypuszczały. Więc trzeba było maksymalnie poszerzyć zakres wolności, zadokumentować pewne sprawy, po prostu przedłużyć tę świadomość. My wtedy nie mieliśmy jeszcze nadziei, że komuna padnie, tylko że trzeba po prostu przetrwać. To było poniekąd, i ten SKS i te działania w tej prasie, to były takie pozytywistyczne. Również, tak powiem, moja działalność w Solidarności miała taki charakter. Fakt, że jak czytam swoje później wytworzone materiały bezpieki na mój temat, no to byłem uważany za dziką ekstremę. Po prostu miałem już pewien staż w stosunku do tego tzw. robotniczego nurtu w Solidarności, czy takiego ściśle związkowego. Mogę powiedzieć, że miałem ten strach troszeczkę oswojony i mogłem go, mimo tego zdawałem sobie sprawę z tego, co robię, no to wiedziałem, że trzeba to robić, że jak powstał ruch związkowy dziesięciomilionowy, to nawet jakby to był ruch dziesięciomilionowy zbieraczy

znaczków, to i tak byśmy dużo więcej zrobili, niż tylko kolekcjonowali te znaczki. Moja działalność w Solidarności zaczęła się w ten sposób, że razem z panią Joanną Wilczyńską (nie jestem w tej chwili pewien jej imienia), z którą pracowałem w internacie technikum spożywczego w Nowej Soli, gdzie przeszedłem po pracy w Ossolineum, i gdzie omawialiśmy troszeczkę te, bibułą żeśmy się wymieniali, to ta pani we wrześniu, już po Porozumieniach, rok szkolny się zaczął, to mówi: „No to co? To zaczynamy!”. I wtedy pojechałem do Wrocławia. Nawiązałem kontakt z Krzyśkiem Turkowskim, który jest moim kolegą z roku, i tam dojechałem do MKZ. Pani Janina Wilczyńska, też historyczka, która, (tak nie rozmawiałem z nią do końca) ale ona w 68 roku prawdopodobnie ze względu na pochodzenie etniczne miała kłopoty jako nauczycielka. I pojechałem do tego MKZ. Tam mnie Krzysiek Turkowski skontaktował z dwoma osobami. Jedna z nich jest dosyć znana, bo to była Barbara Labuda, a drugi Aleksander Skinder, o którego losach dalszych nic nie wiem. I oni przyjechali wraz ze mną tutaj małym fiacikiem do Nowej Soli, i tutaj się odbyło takie zebranie głównie nauczycieli, ale również i innych zakładów pracy w auli technikum spożywczego przy ulicy Wróblewskiego w Nowej Soli, tutaj niedaleko tego naszego miejskiego muzeum. Pełna była sala. Atmosfera tak dosyć podniosła pewnych oczekiwań, pewnego również napięcia. I zaczęliśmy działać. Może ze względu na takie nagłe i ostre pójście do przodu, to 90% nauczycieli, czy pracowników szkół w Nowej Soli zapisało się do Solidarności. To był ewenement tutaj w woj. dawnym zielonogórskim. W innych miejscowościach stopień zorganizowania Solidarności był dużo niższy. Ja początkowo działałem w Nowej Soli, w ramach tej, to była chyba Miejska Komisja, a później już, gdzieś tak od października w MKZ w Zielonej Górze. Tam już się zaangażowałem w dwa takie działania, których bezpieka bardzo nie lubiła. Po pierwsze zostałem sekretarzem Regionalnego Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania. Chodziło głównie o KPN i braci Kowalczyków wtedy. Tutaj bezpieka założyła mi teczkę obiektową „Triumwirat”. Natomiast drugą rzecz, którą zrobiłem, to już w 81 roku, to opublikowałem w formie takiej gazetki czterostronicowej wydrukowanej na [romajorze], takiej broszury „Katyń”. No i tutaj już miałem z tego tytułu teczkę obiektową „Historyk”. O tym się przekonałem później, przeglądając te czki bezpieki i również „Drogi do niepodległości”, tutaj gdzie jest wkładka regionalna, bo mój region zamówił coś takiego. Miałem teczkę osobową również. Natomiast ona została zniszczona w Nowej Soli w dniach 10 i 11 stycznia 90 roku, w czasie akcji wielkiego palenia akt bezpieki. Tak że swoją teczkę robiłem metodą odtworzeniową z teczek obiektowych. Zostałem wybrany w czerwcu 81 roku do zarządu regionu, i później powołany do jego prezydium jako człowiek odpowiedzialny głównie za szkolenia. Prowadziłem, ze względu na pochodzenie i na kontakty, prowadziłem również akcję wspomagającą tworzenie Solidarności Rolników, i tutaj na miejscu i w innych tych, i na skalę województwa i nawet jeździłem do Warszawy na rejestrację, na te próby rejestracji Solidarności Rolników. Miałem i mam w dalszym ciągu wiele kontaktów z tymi ludźmi, którzy tym się zajmowali. Praca w zarządzie była bardzo ciężka. To była właściwie po kilkanaście godzin na dobę. Często nawet niedzieli nie miałem wolnej. Mogę powiedzieć, że były tam, przychodzili dziwni ludzie. Przyszedł jeden Czech, który się zaczął przedstawiać jako opozycjonista (prawdopodobnie do był facet z bezpieki czeskiej, tak jak sobie już w czasie siedzenia doszedłem do wniosku). Prawdopodobnie byliśmy również przez Stasi penetrowani. 12 grudnia, czy nocy z 11 na 12 pojechałem do Warszawy, gdzie odbierałem broszurkę Krystyny Kersten, dokładnego tytułu nie pamiętam, ale „PRL 44-56”. Było tego 5 tys. sztuk, około 300 kila wagi. To była skala tej świadomości historycznej i tego ssania rynku na publikacje historyczne. Tutaj jako historyk czułem się poniekąd spełniony. Do Zielonej Góry jechałem expresem, który tutaj dojeżdżał o 23. Miałem kilkaset tych broszurek w

plecaku, bo expres nie prowadził wagonu bagażowego. Ten wagon bagażowy jechał w pośpiesznym, który miał tu być nad ranem. Przyjechałem do zarządu na al. Niepodległości, odległym o kilka metrów od dworca (może kilometr). I tam już zastałem taką dziwną sytuację, że teleksy już nie działały. Natomiast obsługa teleksów, bo to była taka stacja węzłowa, poinformowała mnie, że jakiś samochód milicyjny, czy nawet dwa samochody, robią takie dziwne numery wokół zarządu regionu w Solidarności w Zielonej Górze. Mianowicie tak jakby blokowania ulicy. Wobec tego podjąłem próbę z jednym człowiekiem, którego na nazwiska w tej chwili nie pamiętam, nawiązania kontaktu z Gdańskiem, zakładając, że to jest jakaś lokalna awantura. Te prowokacje się zdarzały i ostrzeżenia się zdarzały. Więc najpierw pod dwa prywatne adresy poszliśmy w Zielonej Górze, próbując nawiązać z nich kontakt. Też już nie działały. Później na stację kolejową w Zielonej Górze. Również tam już policjant był. Kolejarz mi powiedział, że nie działa. I stamtąd na pocztę główną w Zielonej Górze, gdzie mnie poinformowano, że też nie działa. Natomiast ta pani poczty po cichutku mi powiedziała: „Coś się niedobrego dzieje, bo milicjanci wywożą rodziny za miasto.” I po tej nieudanej próbie wróciłem do zarządu regionu. Już był obstawiony, oświetlony, kordon samochodów, kordon milicji dookoła. Uważałem, że mam obowiązek interweniować, pomimo że miałem gdzieś tak mniej więcej w kieszeni miałem dwie przeciętne pensje z tego wyjazdu, no to jednak uważałem, że trzeba interweniować. Przeszedłem ten kordon. Zobaczyłem w drzwiach wejściowych potłuczone szyby, pełno papierów. Wstąpiłem do teleksów. Tam bezpieka, to wszystko krążyło. Powiedzieli mi, że teleksy zostały zniszczone przez tych zomowców. No i po chwili usłyszałem: „Pan Perlak?”. Ja mówię: „tak”. „Pan pozwoli.” I prowadzą mnie do zewnątrz. Chciałem zgłosić, że mnie zabierają. Już nie pozwolili. Wyprowadzili na zewnątrz, tam zapakowali do wołgi między dwóch smutnych panów. W drodze zapytałem, czy jestem aresztowany. Więc oni mi uprzejmie odpowiedzieli: „Tak, na zawsze, na białe niedźwiedzie.”. No to już później, jak esbek próbował mnie przesłuchiwać, już tak kilkanaście dni naprzód, to zaproponowałem mu, że jak już mam jechać na białe niedźwiedzie, to bezpośrednio po Bożym Narodzeniu, bo będę dwa razy świętował. Tak że w ten sposób sobie pogrywałem z nimi. Również zachowały się, bo czytałem niedawno moją teczkę, zażyczyłem sobie, przeczytałem dokładnie regulamin internowania, że tam nie było nic o alkoholu, to zażyczyłem sobie, żeby w kantynie wprowadzili węgryna itd., żeby mógł kontynuować tutaj tradycję. Tak że zachowało się to w mojej teczce internowanego, te papierki, te moje podanie. W Zielonej Górze, powiem w ten sposób, byłem zamknięty. Siedziałem po trzech godzinach, kiedy mnie pilnował w pokoju biurowym jakiś porucznik. Sprowadzili mnie „na dołki” i tam siedziałem sam w celi. Cella była taka mała, niska, z dwoma katafalkami, bez żadnych koców, poduszek, tylko na tych katafalkach były takie jakby materace gimnastyczne. Okno było uchylone i za siatką bardzo gęstą, mniej więcej o dwucentymetrowym oczku. Więc zimno było wtedy dosyć mocno. Wobec tego odłupałem z katafalki drzazgę, zmniejszyłem szczelinę, bo było na taką odległość, zmniejszyłem mniej więcej od dwóch do pięciu centymetrów. Zablokowałem o tą siatkę i postanowiłem, że w tej sytuacji, w jakiej jestem trzeba przynajmniej odpocząć, bo nic więcej nie można zrobić. Jak byłem w ubraniu w tej celi, to się położyłem. Urwałem drzazgę drugą, uwieczniłem się na ścianie, przykryłem się materacem i tak dotrwałem mniej więcej do godziny 6 próbując zasnąć. Nie bardzo to wychodziło, bo były jakieś krzyki, płacze na korytarzu. Wtedy już od 6 zacząłem sobie zdawać sprawę co jest grane, bo co chwilę leciał komunikat Jaruzelskiego o wprowadzeniu stanu wojennego.

**Pytanie uzupełniające: jaki był Pana stan cywilny?**

Kawaler. Miałem wtedy 26 lat. Byłem kawalerem. Ożeniłem się tuż przed czterdziestką w końcu 93 roku. Można powiedzieć, że to mi też sprzyjało w takim pójściu na całość, bo odpowiadałem tylko za siebie. Chciałem tutaj wyraźnie zaznaczyć, że rodzina płaciła bardzo wysoką cenę mojego zaangażowania i poniekąd to była z mojej strony presja. Oni popierali to, ale to się odbywało ich dużym kosztem. Więc jak mnie tam zawieźli na komendę, później rano, mniej więcej ósma, dziewiąta zaczęli wyprowadzać do suk. Ja byłem skuty kajdankami ze Zbigniewem Mrowcem. Jednymi kajdankami byliśmy skuci. Wyprowadzili do suk. Gliniarz pyta: „Ilu was jest?”. No i wtedy taki Jasiu Papina powiedział: „10 milionów!”. To też była taka miła chwila. Wściekli się trochę ci gliniarze. Zawieźli nas na ulicę Łużycką, bo siedzieliśmy w Komendzie Stołecznej na Partyzantów. Zatrzymali nas chyba w takich dwóch pokojach, gdzie już oddali depozyty. Więc dostałem ten depozyt i w tym depozycie zacząłem przeglądać swoje papiery. I dokonałem bardzo surowej selekcji tych papierów i je spaliłem. Te, które uznałem, że mogą im się przydać, to po prostu spaliłem, żeby im nie ułatwić zadania. Następnie po kolei nas wywoływali z tego pokoju. Zabrali te wierzchnie rzeczy. Dali te kazionne, tą bieliznę więzienną, te platery aluminiowe i na samą górę, na IV piętro. Te kraty trzaskały, szliśmy na samą górę. Ja sam szedłem. Postawili mnie przed celą. Jeszcze raz kolejna rewizja. Przedtem już na Partyzantów byłem dokładnie zrewidowany do naga, łącznie ze sprawdzaniem szwów. Później druga rewizja. Kazali się obnażyć zupełnie. Zajrzeli między palce u stóp. Następnie kazali się pochylić i się obnażyć. Ja powiedziałem: „Z przodu, czy z tyłu?”. I w tym momencie usłyszałem śmiech zza drzwi. Okazało się później, że...Po tej procedurze ubrałem się w te gacie. Wszedłem do celi. Okazało się, że dwóch kolegów już tam siedziało, których się nawzajem nie znało, a których ja dobrze znałem. Jednym z nich top był Jasiu Markowski, szef NZS w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Zielonej Górze, a drugi to był lider Solidarności Rolników, Edward Lipiec, późniejszy senator OKP-u. No więc ja wszedłem tam jako trzeci atmosfera się już nieco rozluźniła. Postanowiliśmy działać. Była ścisła izolacja. Zimno, ciemno, cela wąziutka, tak że jak się stawało piętrowo na 4 łóżka metalowe, więc jak się stawało na ramie pięterka, to wystawało się głową ponad parapet okna, które było zablendowane. Na górze chyba jedna tylko 25-ka żarówka, więc ciemnawo w celi. Temperatura około 6 stopni, zimna tylko woda w kranie, kibel splukiwany. Obowiązek wystawiania tzw. kostki wieczorem przed spaniem, więc marzliśmy. Mocno marzliśmy. Izolacja całkowita. Brak wypuszczania na spacer. Ewentualnie chyba raz w tygodniu golenie. W pewnym momencie zaczęliśmy zapuszczać brody. Tutaj też stawali, szarpali nas na ten. Postanowiliśmy zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze przełamać izolację i wobec tego zamiast się stawiać, to zaczęliśmy po szwejkowsku z wielką przesadą stosować regulamin. I po kolei, jak przechodziła ta atanda, to zaczęliśmy wrzeszczeć: „Andrzej Perlak, melduję do apelu trzech!”. Następnie: „Edward Lipiec, melduję do apelu trzech!”. „Jasiu Markowski, melduję do apelu trzech!” Inne cele to podchwyciły. Zanim się klawisze kapnęli, że nie trzeba wymieniać nazwisk, to już mniej więcej mieliśmy listę odtworzoną kto przed nami, kto za nami, kto w następnych celach. Można było policzyć po ilu i kto w której celi. Następnie różnieliśmy głupa jak już kazali: „nie”, no to: „oczywiście”, ale oczywiście zapominaliśmy, że nie, więc utrwalaliśmy to. Następnie również Edward Lipiec (to jest kawaler orderu papieskiego pro ecclesia et pontifice), człowiek bardzo pobożny, więc śpiewaliśmy pieśni patriotyczne i religijne. Omal o to nie oberwaliśmy, bo wpadła w pewnym momencie atanda i jeden mi chciał tak z gumy pociągnąć, ale drugi fakt, że go przytrzymał. Łomotu za to nie dostaliśmy. Msza była tylko raz, chyba 4 stycznia 82 roku i jedno widzenie. Natomiast o mojej rodzinie, bo do mojej rodziny przyszli także 13 grudnia i przekopali cały dom, całą zagrodę bardzo dokładnie. I przez kilka dni stała obstawa gospodarstwa z dwóch stron. To było zupełnie

jawne. Pety rzucali, więc w pewnym momencie mama im wystawiła puszkę po konserwach, żeby nie śmiecili. Tutaj sprawdzali to i moja rodzina przez mnie więcej 4 tygodnie zupełnie nie wiedziała, czy ja jestem uwięziony, czy żyję. Wolna Europa nadawała te informacje, że na stadionach trzymają, itd. Komisarz wojskowy Bytomia Odrzańskiego nie zezwolił rodzicom na wyjazd stąd. Nie wydał przepustki. Natomiast cywilny komisarz konspiracyjnie wydał tą przepustkę, za co mu publicznie i na piśmie podziękowałem teraz w 25 rocznicę stanu wojennego. Pojechali tam rodzice do Zielonej Góry, ale ani w Komendzie Wojewódzkiej, ani w więzieniu, gdzie siedziałem, zaprzeczyli, żeby tam był. Więc to były upiorne tygodnie dla mojej rodziny. Później to widzenie się odbyło chyba 5 czy 6 stycznia. Później 8 stycznia wyjechaliśmy do Głogowa. Chciałem jeszcze wspomnieć, że próbowano nas tam złamać. Zupełnie, konkretnie, takimi metodami, że np. po 16 grudnia, jak była masakra na kopalni „Wujek”, to weszła taka szczególnie wzmocniona atanda. Prowokacyjnie się zachowywali. Wrzucali nam do cel gazety, gdzie tylko się jakiś solidarnościowiec pokajał. Audycje, nawet w radiowęźle były cenzurowane, bo były o innych porach niż normalnie. Więc nawet te audycje stanu wojennego były wobec nas preparowane. Stamtąd suką z Zielonej Góry, właśnie przez Bytom Odrzański przejechaliśmy już do Głogowa. Część wypuścili. Myśmy pojechali do Głogowa. I tam na ulicy (jak ona się nazywa?) Brzostowskiej jest takie więzienie pół-wolnościowe, gdzie kraty były już, jak w Zielonej Górze cele były ściśle zamykane, tak w Głogowie już był już tylko „szwedzkie firanki” w oknach, czyli stalowe. Natomiast drzwi już nie były zamykane. Cele były...na 21 metrach kwadratowych siedziało nas czternastu, więc prycze były w trzech kondygnacjach. Ten kto siedział najwyżej opierał się, jak chciał się nałóż ku, to się opierał plecami o sufit. Więc zagęszczenie było duże. Obsługa też tyranizowała nas. Wpadała od czasu do czasu atanda. Natomiast kontakty już były łatwiejsze. W Głogowie już ruszyło szkolenie w różnych dziedzinach. W Głogowie komendantem był pułkownik Sauter, stryj naszego obecnego tutaj burmistrza od 92 roku w Bytomiu Odrzańskim, który chcąc nas skłonić do pewnej spolegliwości chwalił się tym, że był czołgistą w armii u Popławskiego i że rozstrzeliwał Poznań w 56 roku, stąd też na jego cześć powstała taka piosenka: „Nie łatwo jest być komendantem w obozie dla ekstremistów.”. Ona powstała na takiej zasadzie, że np. starano się nas zastraszyć pozbawianiem widzeń i zamykaniem w karcerze. Karcer to się nazywało kabaryna, taka tygrysówka, gdzie była krata w kracie. Wszystko przyspawane, łóżko również też przyspawane. Jednego z chłopców, Ryszarda Kuleszę pod byle pretekstem zamknięto. To był taki szczupłutki chłopak, chorujący na płuca, taka lebiodka. Zamknęli go i on zniknął. Nie poddał się rewizji, nie dotarł na widzenie. On śpiewał, grał na gitarze, no gitary tam nie miał, ale zaczął śpiewać w czasie, kiedy my byliśmy na spacerunku. On zaczął śpiewać, chłopcy się zorientowali, co jest grane, co się z nim dzieje. I wtedy był taki ładny akt solidarności. Mianowicie około 30 internowanych napisało do komendanta wnioski o ukaranie karcerem. O ukaranie karcerem, ponieważ oni też łamią systematycznie regulamin. Nie wstają jak wchodzi klawisze. Nie dają się przeliczyć. Nie dają się rewidować jak idą na rewizję. I wobec tego wnioskuje, żeby również ich zamknięto do karceru w imię jakiejś równości i socjalistycznej praworządności. Mam właśnie te kserówki. Karcer został ośmieszony jako forma kary. Rysiu Kulesza został wypuszczony z karceru i powstała ta piosenka „Graj Kulesza!”. To już było wtedy takie działanie, przełamanie bariery strachu. Zupełne. Autorem pieśni był doktor Janusz Sanocki z Nysy, szef takiego mikroregionu Nysa, członek Komisji Krajowej, Janusz Sanocki. Ułożono tą piosenkę. Później do tego więzienia został przemycony magnetofon. Została nagrana cała taka kasetka, która potem szła przez Wolną Europę. Była kolportowana w kraju. Ona teraz wisi na [internowani.pl](http://internowani.pl), na tej stronie, dwadzieścia

parę tych piosenek. Jest wyczyszczona technicznie. Między tymi piosenkami jest ta. Również na tej kasecie były takie, były inne piosenki, które dotyczyły, oprócz religijnych, patriotycznych, historycznych, to była właśnie oryginalna twórczość jak należy się zachować. No więc wyśmiewająca kolaborantów: „O czym myślisz nad ranem pseudo-internowany?”, taka jest pioseneczka. No i druga, jak należy się zachować, czyli pozytywny instruktarz zachowania: „Nie daj się wydalić! Nie daj się złamać!”, itd. Były tam również w Głogowie już działania takie na dużą skalę samokształceniowe. Ja prowadziłem wykłady z historii, ale również prowadziłem instruktarz „domowy wyrób win”, bo w tym miałem już pewną praktykę. To znajduje zastosowanie, jak koledzy z wdzięcznością mówią do dzisiaj. Natomiast były również inne: z prawa, z języków obcych, m.in. był nawet lektorat z języka japońskiego, bo jeden z pracowników Instytutu Niskich Temperatur z Wrocławia był na stypendium w Japonii, więc to też było robione. Były druki: przede wszystkim znaczki, pocztówki. Metodą linorytu. I tak to trwało mniej więcej do końca lipca. Bodajże 30 lipca nasz obóz został, ta resztówka została wywieziona do obozu do więzienia w Grodkowie. Przedtem jeszcze były takie fale, że wywożono stopniowo np. do Ostrowa Wielkopolskiego, dalej na Gębarzewo i Kwidzyn (tam, gdzie niektórzy z naszych oberwali)- to był jeden szlak, natomiast myśmy poszli, że tak powiem, szlakiem przez Polskę południową. Ostatnich trzydziestu zapakowali w sukki, wywieźli do Grodkowa i tam dowódca tego więzienia chciał nas rozmieścić po celach według swojego upodobania, a było to więzienie, gdzie cele były zamykane. My na to nie mogliśmy się absolutnie zgodzić i wobec tego podjęliśmy pewne działania, których liderem był Jerzy Popioł z Jeleniej Góry, geniusz ślusarki. Jemu się żaden zamek nie oparł. I on np. w Głogowie zrobił taki numer (bo otwierał wtedy co chciał), internowani z legnickiego się na początku trochę tego bali, ale w pewnym momencie poprosili go o otwarcie dwóch krat, bo mają pewien pomysł. Była zasada: mniej wiesz, spokojniej śpisz. Więc ten im to otworzył, natomiast chłopcy z legnickiego spowodowali, że krata zniknęła. Jedna z krat oddzielająca tutaj ten barak od takiego łącznika, gdzie klawisze siedzieli, zniknęła. No więc alarm. Coś się dzieje niesamowitego, bo to jest zdjęcie systemu zabezpieczeń. W więzieniu jest to już traktowane jako surogat buntu. Internowani są spokojni, a kraty nie ma. Więc ci szukają bezskutecznie. Zginęła krata 2m x 1m. Znalazła się dopiero w nocy. Płk Sauter przyszedł i on czasem lubił spać na tym łączniku między tymi barakami. Położył się na łóżko i poczuł coś twardego. Krata była pod kocem. Więc to była taka delikatna sugestia: nawet w łóżku cię możemy dopaść. Facet to zrozumiał, bo trochę zachorował na głowę od tego. Tam były robione różne rzeczy, ale już po takim czymś postanowiono ten pół-wolnościowy obóz zlikwidować i zapakować nas do tego Grodkowa, gdzie Michalak potrafił pacyfikować. Terror moralny, tak że ci internowani (ja to ze słyszenia tylko) ograniczali się tylko do tego, że pisali protesty. Ci wpinali do teczek i na tym się kończyło. Natomiast jak przywieźli tą grupę wolnościową, to ten kolega Popioł uwolnił się. Otworzył sukę od środka i internowani wysypali się. Pierwsza suka wjechała na tzw. służbę, a druga suka wysypała się przed bramą więzienia, no i zaczęła kontemplować krajobraz, co też spowodowało wybuch paniki. Wgonili ich do środka, no i tak trwały pertraktacje: czy idziemy na cele tak jak sobie porucznik Michalak życzy, ten komendant więzienia (być może go obniżam w randze) czy też robimy tak jak my. Tam był już warsztat cały: pilniki, kwas azotowy do trafienia w metalu, urządzenia poligraficzne, stemple, cały szereg innych rzeczy. Kolega Popioł m.in. zabrał sobie z biblioteki w Głogowie encyklopedię techniki wojskowej. Tam były bardzo interesujące rozdziały, np. na temat produkcji prochu. No więc zapłacił za to, żeby nie uchodzić za złodzieja. I on otworzył tę sukę, wprowadzili ludzi do świetlicy i trwają targi. W pewnym momencie Popioł wpadł na świetny pomysł (oczywiście młotki były, piłki do metalu, no więc cały szereg



interesujących, ważnych dla pozbawionego wolności człowieka sprzętów), żeby ruszyć. I tutaj ja się opieram o jego relacje. Sam nie byłem tego naocznym świadkiem. Mianowicie w pewnym momencie do tych dosyć znużonych, zgotowanych upałem i tym ciężkim transportem poszedł na korytarz i zobaczył kobietę wychodzącą (z obsługi) z gabinetu dentystycznego. Mówi: „Chłopaki, patrzcie, chodźcie tu! Jest niezła dupa.”. No i wtedy się ruszyli. Ruszyli i wbiegli na tę część administracyjną. Rozbiegli się. Sam Popioł, jak zaczęli otwierać drzwi do tych biur (to jest coś niesamowitego w szanującym się pierdłu, żeby posadzeni robili takie rzeczy nie wzywani, nie pod konwojem, tylko rozpełźli się), natomiast sam Popioł zagrał va bank i wszedł do gabinetu komendanta, który swoich podwładnych oficerów godzinami potrafił trzymać przed drzwiami. Oni czekali na posłuchanie. On wszedł do niego i otwarta szafa z bronią długą, krótką. Komendant natychmiast schował pieczętkę za pazuchę, zamknął tą szafę, schował kluczyk i, jak opowiada Popioł, znieruchomiał trzymając dłonie na biurku. A ten tak na luzie: „O, szefie to by mi się tusz przydał, tutaj ta poduszka, o papier.”. On już to robił znacznie wcześniej w Kamiennej Górze, w dawnej filii obozu koncentracyjnego. Więc zabrał to temu komendantowi. Ten milczał taki zeszywniały i spokojnie, tak jak opowiadał, patrząc mu w oczy, wycofał się za drzwi. No to już było zupełne tapnięcie i taką zagrywką internowani osiągnęli to, że ci co szybciej, żeby weszli na ten pawilon i już żeby się rozładowali tak, jak chcieli. Więc wtedy można się było załadować tak jak wierzyli. Jeden drugiemu wierzył. W tych zgranych zespołach, które miały do siebie zaufanie. Wparowali z wszystkim sprzętem na cele tak jak chcieli i z miejsca zaczęło się kucie skrytek. To był standard. I oni postanowili, że my jak już jesteśmy tu, to w tym momencie będą nas oczywiście zamykać i wydzielać ten spacer precyzyjnie. Więzienie w Grodkowie jest małym obiektem o bardzo wysokich murach. Spacerniak to tak jakby studnia otoczona chyba 6-metrowymi murami. No to wtedy próbowali to zrobić, ale ten numer już nie przeszedł. Internowani, jak już wnieśli tam te klucze, kombinerki, piłki, to natychmiast usunęli wszystkie zamki z drzwi. To były solidne drzwi z takimi zamkami jak tutaj 4 palce. Znikły te zamki. One wylądowały częściowo w koksie, częściowo u złodziei, którzy byli przewiezieni z Głogowa, zaprzyjaźnionymi z nami. Więc komendant się zupełnie błąźnił, bo wezwał internowanych i mówi: „Panowie, oddajcie te zamki! To jest przecież nasze wspólne dobro.”. „Panie Komendancie, ma Pan nasze zegarki, dowody osobiste, w swoim czasie się wymienimy!” No i zaczął się horror. Zaczął się zupełny horror. Ściągnął ten komendant posiłki, chyba ze dwustu klawiszy z różnych więzień z całego tego Dolnego Śląska. Było w ten sposób, że po dwóch wstawili przy każdym drzwiach. Sprowadzili spawarki, więźniów do pracy. Dzień i noc dyżurowali. I zaczęli naspawywać. Wcześniej jak były zamki na śruby zaklepane, tak później zaczęli naspawywać 5mm blachy i na to naspawany był zamek, że już właściwie żadnymi takimi nie da się. No to wtedy chłopcy zaczęli okazywać tym klawiszom dyżurującym tu, pilnującym bardzo wielką życzliwość: może se zapali, a pogadać, a tego. A w tym czasie chłopak szedł, zorganizowali chłopcy trochę cementu, żwiru, w te zamki albo ewentualnie żywica epoksydowa z żwirem itd. Czy ewentualnie w ten sposób, że wytrychem otwierali te zamki i z całej siły uderzali. Więc ten język zaspawany tak mocno, ten język się zaginał i drzwi były już cały czas już zupełnie nie do użycia. Komendant więzienia w Grodkowie, on już dostał szau i już zaczął grozić oficerom bronią, bo spodziewał się, że jest jakieś współdziałanie. Wtedy dojechali jeszcze koledzy ze Śląska, m.in. tacy ludzie jak Arend, znany z tego, że wywiózł materkę z kopalni, przyjechał tam Waliszewski, Rozpłochowski z tej wierchuszki, Maśior. No i wtedy zaczęły się takie różne pogrywki. Jak oni próbowali nas styranizować, to wtedy ci zaproponowali taką zabawę, że zrobili taką linę z podkładów pod materace, żeby się materace nie tarty na metalowych siatkach i poprosili profesorów, żeby pociągali. Ci nie

wiedzieli o co chodzi, a tu chodziło o to, że na wysokości zawiasa kraty o grubości 25-30 mm z takich prętów był włożony albo młotek albo kawałek przepalonego rusztu z żeliwa. I jak tak się wzięło na dźwignię w kilkunastu chłopca, jak się to pociągnęło, to po prostu ta potężna krata została zwichrowana. Właściwie nie do naprawienia. I to miało na celu również wiązanie sił ZOMO. Myśmy to robili cały czas. Więc jak był 1 maj czy te inne rocznice, to po prostu obozy dymiły. Czy na 31 sierpnia obozy po prostu dymiły w celu wiązania sił, odciągania sił, itd. Jeszcze jeden problem. Mianowicie były w czasie tego internowania takie wielkie akcje łapania. Normalnie to internowani kapali, nowo złapani, natomiast były dwie takie przynajmniej akcje: początek maja 82 i koniec sierpnia 82, kiedy masa tych internowanych przybywała. Celem naszym, ja się w to też brałem, było to, ażeby tych ludzi utwardzić psychicznie. Oni z łapani czasami wprost szli do naszych cel. Wtedy trzeba było im powiedzieć: „Słuchajcie chłopcy, status internowanego to dosyć wysoko jest w społeczeństwie postrzegany i to zobowiązuje. Wobec tego nie ma co ganiać do esbeka, niema co podpisywać. Tu się da żyć.”. Pokazywaliśmy, że jest to przyjemna w miarę egzystencja jak na odsiadkę. Żarcie, mówiąc szczerze gdzieś już od kwietnia było lepsze niż na wolności. Więc tutaj byli biskupi, Międzynarodowy Czerwony Krzyż itd. Więc trzeba było sobie na to zasłużyć. Natomiast ostatnim argumentem, jak któryś tam chciał bardzo pękać, było mu bardzo...”Słuchaj, jak musisz lecieć, to po pierwsze gadasz tylko o sobie i słuchaj uważnie o co pytają. Nic o tym ‘kolega z celi’.”. I później jak taki wracał do celi z powrotem, to był przez kilka godzin przepytany. No więc mieliśmy informację zwrotną. To dawało czasem duże rezultaty, bo wielu z tych ludzi, z tych masowych branek, esbecy się orientowali, że oni się bardzo szybko radykalizują, to szybko ich zwalniali. W wypadku jednego to ja dotarłem już do takiej (już w Uhercach) relacji esbeka, który napisał raport, że on odstępuje ze względu na prestiż bezpieczeństwa on odstępuje w ogóle od przesłuchania, żeby się nie ośmieszać, bo internowani po prostu to robią i że robią kontrwywiad w ten sposób. Więc w wypadku jednego z nich to w Uhercach odstąpił esbek bodajże z Katowic, czy z Karkowa. W ogóle odstąpił od przesłuchania, że nawet nie wzywał. Wobec tego, jak nas nie udało się złamać w tym Grodkowie, a cały pierdel został wypatroszony w środku, więc komunikacja między piętrem a parterem była zupełnie swobodna, robiliśmy wszystko, co chcieliśmy, to po kilkunastu dniach postanowili nam dać w kość. I tutaj tych ludzi z dawnego zielonogórskiego, z wałbrzyskiego, jeleniogórskiego i Górnego Śląska zapakowali do suk, do trzech suk i ruszyli na wschód. Kilka godzin trwało zanim..., bo część poszła dobrowolnie, część się stawiała. Więc ci, co pierwsi poszli dobrowolnie się ze dwie, czy trzy godziny gotowali w sukach na podwoziu stara bez żadnych..., to był koniec lipca. Upalny czas, więc ci się zagotowali. W końcu ostatni weszli. Przygotowane mieli karteczki: „51 internowanych wiezionych w nieznanym kierunku”. Wyrwali kratkę wentylacyjną i jak się jechało przez miasto, to było powstanie na ławeczki, huśtanie. Więc ta suka mająca wysoko środek ciężkości jechała czasem na jednej tej i musiała zwalniać do 15, gdzieś tak mniej więcej. Więc zwłaszcza na krzyżówkach to się rzucało. Po kolei od Grodkowa aż po Bieszczady wszystkie komisariaty chyba były i środki były poderwane, bo policja stała na każdym skrzyżowaniu. Więc to było coś niesamowitego. 51 bezbronnych ludzi jechało. Natomiast po drodze, ponieważ żeśmy to rzucali, to zrobiono nam specjalną atrakcję. Mianowicie na Montelupich w Krakowie, jechaliśmy przez Kraków w pewnym momencie suki skręciły. Chłopcy myśleli, to była gdzieś tak godzina 17, 18, że coś dostaniemy do jedzenia, a tym czasem okazało się, że oni to zamierzali na rewizji. Popiół ponownie otworzył sukę od środka i ci przed bramą Montelupich kilkunastu internowanych wysypało się na zewnątrz. No więc klawisze wybiegli. Po chwili wybiegli w samych gaciach, chłopcy w białiznie, bo tak spoceni

całkiem. Tłum ludzi przechodzi tamtędy, niedaleko przystanek tramwajowy jakiś, czy autobusowy. Więc w pewnym momencie klawisze wybiegli na zewnątrz. Kółeczko z bronią: „Włazić do środka!”. W środku, jak mnie w końcu wypuścili, ja nie byłem w tej suce akurat, to na różnych kondygnacjach stali gliniarze, czy ci klawisze, czy jakieś inne siły z bronią gotową do strzału, włącznie chyba nawet ze snajperskimi karabinami. Wprowadzili nas, żadnego żarcia, tylko dokładna rewizja. Zabrali prawie wszystkie karteczki, długopisy, jakieś tam inne rzeczy. Chyba dali po jabłuszku i po kromce chleba i jazda dalej na wschód do Uherzec. I tam dojechaliśmy chyba o 1 czy o 2 w nocy już 17-go. I znowu następna próba rewizji, bo myśmy w tych sukach jechali, natomiast nasz bagaż jechał osobno ciężarówką. Absolutnie nie ma mowy, że będziemy tak brali po kolei, będą nas kipsisz owali i będziemy schodzili na te cele. Absolutnie. Taki jeden porucznik Lipczyński wyzwał nas od pachółków Regana. Mówi: „Wy pachółki Regana!”. No to wtedy mówili: „Ty pachółku Breźniewa!”. Usłyszał i powstała później piosenka również o por. Lipczyńskim. W rezultacie kierowcy tych suk, jak byśmy wzięli ich tak na przetrzymanie, to kierowcy suk chcieli już wracać. No i się sami zaczęli buntować, stali się naszymi sprzymierzeńcami, że oni chcą już wracać, że oni mają to gdzieś, te rewizje. Oni muszą w końcu gdzieś zatankować, muszą odpocząć. Oni też byli zmęczeni. No i w końcu zgodzili się, że wparujemy na cele z tym całym sprzętem. Wpadli z tym wszystkim do środka. Zaczęło się kucie skrytek. Pochowali. I Uherce tutaj żeby już za bardzo nie przedłużać, miały tą specyfikę, że one były ośrodkiem instruktarzu. Tam po pierwsze działała Wolna Wszechnica Więzienna, po drugie prawdopodobnie Aleksander Rusiecki, spośród wielu innych wynalazków przywiózł tam do Uherzec bardzo wydajną technikę druku i bardzo łatwą do ukrycia. Ja tutaj mam przed sobą drukarnię zrobioną na taki sposób, drukarnię więzienną. Drukarnię, której ramką była wyrwana płytka PCV, natomiast matrycą była folia spożywcza. W warunkach więziennych to się tą folię spożywczą, najlepiej ona była z rolki, z zachodu, zupełnie nie podpadająca u więźnia, bo ona była lana i idealnie równa. Peerelowska walcowana była niezbyt równa i nierówny był druk. To się preparowało w ten sposób. Wystarczył arkusz papieru ściernego setka albo 120 i ten arkusz papieru ściernego przykrywało się to folią w ten sposób. Spod spodu podklejało się skoczem, żeby to było gładziutkie. I na tym pisało się długopisem. Kulka długopisu się dosyć szybko zużywała, ale korund papieru ściernego perforował folię. Powstawała bardzo wygodna, praktycznie nie do zdarcia matryca. Farbę robiono natomiast z tuszu do pieczętek, kolorowego tuszu gotowanego z szarym mydłem z dodatkiem przemysłówki, zebrana szumowina, konsystencja gęstej śmietany. Drukowało się w dwie osoby. W warunkach więziennych to wystarczał jakiś tampon, że nabierało się z szyby ten, że tak powiem, tusz, tą farbę, i tak dwa czy trzy razy, albo ewentualnie jak była rakla takiej szerokości z flaneli zwiniętej w kształcie takiej jakby litery ‘t’. Wystarczyło tylko jedno pociągnięcie, wybierało się i w takim tempie szedł druk. Później w oparciu o internowanych powstała ta siatka Agencji Informacyjnej ‘S’ i Krajowej Agencji Terenowej, która drukowała tą samą techniką. Z tym że to była już drukarnia z blachy aluminiowej, rakla też wycięta z blachy aluminiowej. O ile w więzieniu to się robiło ręcznie, to na wolności to się ten papier ścierny z folią przykrywało jeszcze chyba przebitką i pisało się na maszynie do pisania, w miarę możliwości z drobniejszą czcionką, ze zdjętą tasiemką drukarską. I wtedy uderzenia czcionek powodowały to perforowanie. Maszyna się szybko, zwłaszcza ‘a’, ‘e’ zużywała, ale ta technika była po pierwsze całkowicie cicha, kosztowała drukarnia tyle co pół litra, mieściła się w skoroszytcie. Trzeba było w zasadzie tylko zorganizować papier. Wszystkie inne to były marginalne zupełnie koszty. Co więcej, ta technika pozwalała, że po wydrukowaniu części nakładu np. w Warszawie można było to odkleić delikatnie, umyć, zawinąć kanapkę, przejechać do Wrocławia i

skończyć nakład. Nie trzeba było światła, nie śmierdziało, to była praktycznie bezwonna farba, cichutko to szło. Bo np. to, taka ramka, to nawet wisiało na ścianie w celi. Klawisze nie wiedzieli czego szukali. Wiedzieli, że są drukarnie, ale oni szukali czegoś takiego. Natomiast tam drukowała się w Uhercach takie pismo, które się nazywało „Skrót”, drugie było „Zadyma bieszczadzka”. Drukowano również śpiewniki. Natomiast ja, zanim Alek Rusiecki przyjechał z tym pomysłem, to ja opracowałem...Drukowano również takie pismo „Kret”, które było pismem instruktarskim, gdzie były np. schematy radiostacji, jak drukować, itd. To było pismo drukowane w więzieniu z przeznaczeniem właściwie na zewnątrz. Co więcej powstała..., ja również jeszcze wcześniej zrobiłem taką drukarnię z PCV, chińszczyzna, wycinałem ją, może pokażę te czcioneczki. Policzyłem tekst, ile których liter, wyciąłem to- zupełna chińszczyzna. Litery się na gumę arabską przyklejało na szybę. Później na to wałkiem fotograficznym nanosiło się zwykłą farbę drukarską, kartka, no i butelka po tym i odbitka. Tą techniką właśnie wydrukowałem instruktarz jak to drukować i również wykład prokuratora Śnieżki jak się zachować w kontaktach z bezpieczeństwem. Natomiast u mnie się niestety w czasie internowania zaczęły pojawiać na prawej nodze zgrubienia na udzie po zewnętrznej stronie. Próbowałem udać się na leczenie w mojej sprawie. I do Kościoła i do MCK interweniował Janusz Romaniszyn. On mi nie powiedział, co mi jest, natomiast poradził mi, żebym jak najszybciej jak wyjdę poszedł do lekarza. Trafiłem w pierwszych dniach po wyjściu. Zostałem właściwie wyrzucony z więzienia, nie zwolniony tylko wyrzucony, bo graliśmy o bezpieczeństwo Krystian Konika, który był świadkiem na kopalni „Wujek”. Doktor Romaniszyn, internowany chirurg z nami, delegat na Krajowy Zjazd zajmował się naszym stanem zdrowia i również naszym samopoczuciem, on był również psychoterapeutą. I utrzymywał kontakt z MCK. Wyszedłem z tego pudła. Wyrzucony zostałem 30 listopada. Przyjechałem do domu. Już mnie nie przyjęto do pracy w technikum spożywczym. Zaproponowano mi pracę w szkole podstawowej nr 7 w Nowej Soli. Ale już nie długo pracowałem, bo po trzech miesiącach trafiłem na operację, w związku z tymi zgrubieniami na nodze, najpierw na ortopedię, bo nie wiedzieli co jest. Po wycięciu tego, po zrobieniu biopsji, okazało się że to choroba nowotworowa. Trafiłem już na rentę inwalidzką. Ponieważ miałem bardzo krótki czas pracy i inflacja żarła tą moją pensję członka prezydium, więc miałem rentę na poziomie minimalnym. Moja kuracja trwała właściwie do 88 roku. W 86 roku po chemii, po naświetleniach, po chyba pięciu operacjach odjęto mi nogę w pachwinie. Natomiast jeszcze jedna odnowa była w 88 roku. Od 84 roku już jestem na rencie inwalidzkiej. Do pracy nie mogłem wrócić tu w Bytomiu Odrzańskim nawet, mimo że o 10 metrów od mojego domu znajdowała się szkoła podstawowa, gdzie był vacat na stanowisku historyka. Nie mieli historyka, zatrudnili taką panienkę, którą dopiero później wysłali na studia. Ja jedyną pracę jaką mogłem wykonywać, tą swoją głodową rentę uzupełniać, to była praca w spółdzielni niewidomych, gdzie pracowałem jako wytwórca żabek do firanek. To była praca dla niewidomego. Jako chałupnik to robiłem. I tak trwało do początku 90 roku. W tym czasie chorując jednocześnie się angażowałem u Joanny Wierzbickiej- Rusieckiej jako korespondent w tych Agencji Informacyjnej „S” i w KAT. Pierwsza wydawana była do 84, druga do 86 roku, do wpadki tej drukarni. Te broszury, że tak powiem czasopisma były drukowane właśnie taką techniką, która była ściśle zakonspirowana w oparciu właśnie o byłych internowanych i ich zaufane osoby. Nie było większych wpadek tutaj, natomiast te czasopisma były dosyć często cytowane czy to przez „Kulturę paryską” czy to przez jakieś wydawnictwa w Szwecji. Tu pani Wierzbicka będzie bardziej kompetentna co i kiedy było robione. Tak dotarliśmy do 89 roku. Wtedy ja tutaj byłem szefem Komitetu Obywatelskiego w Bytomiu Odrzańskim. Ponieważ uważałem, że za dużo ludzi zginęło, ogromne poświęcenie, nie można tego

zmarnować, i wobec tego w Bytomiu wykorzystaliśmy wszelkie możliwości jakie dawała ordynacja, czy też luki w ordynacji, żeby osiągnąć maksymalny wynik: m.in. parasole ogromne stały przed punktami wyborczymi, ściagi były jak głosować (nie było zakazane); autobus, który dowoził ludzi z wiosek do głosowania oplakatowali koledzy z Komitetu Obywatelskiego. I osiągnęliśmy tutaj wynik najlepszy w województwie, chyba 80 czy 82%. Cała lista krajowa została skoszona i dlatego też strasznie mnie tapnęło, kiedy Onyszkiewicz ogłosił, że strona społeczna zezwala na tworzenie listy krajowej, bo uważałem, że to było takie pierwsze upuszczenie pary. Tutaj sobie komuna sama strzeliła w stopę. W ten sposób oddaje się walkowerem coś, nie mając żadnych wzajemnych, że tak powiem, gwarancji. Więc to byłem pierwszy raz bardzo ciężko rozczarowany tym i później przeżyłem cały szereg rozczarowań, kiedy okazało się, że to porozumienie Okrągłego Stołu w praktyce rządu Mazowieckiego i rządu Bieleckiego oznacza to, że zachowane zostają wszystkie przywileje aparatu represji, niemal wszyscy esbecy mieli bardzo wysokie emerytury, natomiast ci, którzy dostali straszliwie w kość zostali pozostawieni sami sobie. Ja tak bym powiedział, cytuję nie pamiętam kogo, że część tej elity solidarnościowej wspięła się po szczeblach kariery i wciągnęła za sobą drabinki, zostawiając resztę za burta.

**Czy po powrocie na wolność, po internowaniu otrzymywał Pan jakąś pomoc?**

Tak.

**Od kogo? Jakiego rodzaju pomoc?**

Dostawałem pomoc. To była pomoc zwłaszcza w zakresie medycznym. Te rany mi się paprały więc dostawałem opatrunki, strzykawki do wstrzykiwania antybiotyku w głąb, co więcej, mogę powiedzieć, że jeszcze jak siedziałem w ostatnim dniu, bo mnie wyrzucili 30 listopada, czyli na moje imieniny, to w tym czasie była Msza w mojej intencji w kościele kapucynów, gdzie teraz nie dawno ojciec Medard dostał ten medal Krzyż Oficerski. I tam się księdzu coś pokręciło i ogłosił intencję mszalną: w intencji zmarłego Andrzeja Perlaka. Potraktowałem to, że pożyję sobie dosyć długo. Dostawałem jednak to wsparcie. Dostawałem np. po odjęciu nogi w 86 roku: biskup Limburga, który dowiedział się przez ludzi Solidarności w Wrocławiu, sfinansował mi protezowanie. I miałem taką bardzo dobrą protezę tej prawej nogi, która została wyjęta w pachwinie. Ona elegancko wyglądała, bo chodziłem nawet (wtedy byłem nieco sprawniejszy) ostrożnie, nawet nie podpierając się laską, potrafiłem tak iść. Natomiast ona była ciężka w noszeniu, ponieważ trzeba było bardzo mocno kości miednicy i brzuch spinać. Ona utrudniała pracę jelit i krążenie krwi. Co więcej nie wiem czy od tego, bo chodziłem wtedy jeszcze półtora roku dosyć często, nastąpiła odnowa choroby tutaj na biodrze i od tego czasu już nie noszę tej świetnej protezy. Więc miałem to wsparcie ze strony ludzi z Solidarności, głównie z Wrocławia. Ludzie również mnie odwiedzali. Gdzieś do 85 czy szóstego roku jeszcze koledzy pisali z obozów. To było dosyć częste. Natomiast ja nie mogłem pracować tu jako nauczyciel. I do pracy wróciłem dopiero po Okrągłym Stole, chyba od lutego 90-go roku. To powodowało, jak się okazało, że internowanie nie zalicza się do służby tzw. nauczycielskiej, że bardzo długo nie mogłem przejść na emeryturę nauczycielską, bo przeszedłem na pół etatu. Jak wyczytałem w Gazecie Polskiej to mordercom ks. Jerzego Popiełuszki Kiszczak zaliczył do służby mundurowej całą odsiadkę za morderstwo i do wymiaru emerytury. Dla mnie natomiast nie zaliczono. Ja próbowałem właśnie tutaj przez precedens nagłaśnianie, byłem delegatem na zjazd krajowy Solidarności, w pewnym momencie domagałem się tego. Okazało się to bezskuteczne. Przez dłuższy czas, od 2005 roku byłem urlopowany do pracy w związku zawodowym Solidarność Nauczycielska. Natomiast niestety do końca

nie zaliczono mi tego internowania. Przegrałem sprawę w sądzie apelacyjnym w Poznaniu w zeszłym roku, w 2007, i w rezultacie, i dopiero dzięki temu..., tutaj miałem takie nieprzyjemności w pracy podszuczowania uczniów, jakieś takie przyświnianie, i w rezultacie z ciężkim trudem dotrwałem, dopracowałem do końca ubiegłego roku 2007-go i dostałem wreszcie tę emeryturę nauczycielską. Pragnę tutaj stwierdzić, że jeszcze w 91 roku otrzymałem pomoc ze strony senatora Waleriana Piotrowskiego, Edwarda Lipca, z którym siedziałem przez kilka miesięcy i nawet takiego SLD-ego posła Alfreda Owoca, wtedy się znalazł ładnie i poparł ten wniosek o rentę specjalną, i premier Bielecki przyznał mi jakiś tam dodatek, ale on był skonstruowany w ten sposób, że go bardzo szybko zjadała inflacja. I dopiero w 2001 roku na wniosek ministra sprawiedliwości Lecha Kaczyńskiego premier Buzek przyznał mi w takiej formule opracowanej przez sędziego, pracującego w ministerstwie sprawiedliwości, tą rentę, że tej chwili, od 2001 roku jest ten dodatek płacony również z mojej emerytury. W rezultacie moja stopa życiowa jest nie najgorsza. Mam około 1700 złotych, więc to jest moja prawa noga, i ze dwa czy trzy tankowania dodatkowo. Więc to mi umożliwia funkcjonowanie i to mi umożliwiło zbieranie informacji, co się wiąże ze sporymi kosztami i przejazdów i kserowania i nagrywania itd. Ponieważ uważałem, że należy, że nie można zmarnować walki pokoleń i trzeba tą walkę, tę krew tych ludzi, więzienie, upokorzenia wykorzystać maksymalnie. Z tego też powodu przystąpiłem do Porozumienia Centrum i obecnie dalej jestem w Prawie i Sprawiedliwości, czyli w tej organizacji, w tej partii, która stara zrobić się to co możliwe. I właśnie rząd Jarosława Kaczyńskiego uchwalił w bardzo trudnej sytuacji tą ustawę, która daje prawo do tych świadczeń do 25 tys., ale jest to również okazja do zebrania relacji i uzupełnienia dosyć jednostronnych akt, którymi dysponuje IPN, bo to są akta proweniencji esbeckiej przeważnie. Półtora roku mniej więcej temu razem z żoną, która jest nauczycielem informatyki i jest mi bardzo pomocna w tej sprawie, zrobiłem temat badawczy w IPN o obozie internowanych Uherce II. Ta książka już została złożona kilka miesięcy temu w IPN wrocławskim. Recenzje były pomyślne. IPN przeprowadził przetarg na tą książkę i przypuszczam, że tej jesieni ona będzie wydrukowana, i co więcej w południowej Polsce szlakiem tym jak żeśmy jechali tam od Wrocławia po Katowice do Rzeszowa będzie tutaj promocja tej książki.

**Wspomniał Pan, że również rodzinę dotknęły pewne represje: chciałbym ten temat pogłębić.**

Wyglądało to w ten sposób, że jak siedziałem w obozie, po tych pierwszych przejściach stanu wojennego mojej mamie wyzwoliło się wysokie ciśnienie, sercowe sprawy. Ja chciałem nawet w maju wyjść, żeby pomóc w sianokosach na przepustkę. Odmówiono mi wtedy. Natomiast jak były wakacje, jak były żniwa to np. zupełnie konkretnie odmówiono mojej rodzinie prawa do kombajnu. Taki syn aktywisty partyjnego był dysponentem kombajnów, odmówił. Wtedy moja mama poszła do tego naczelnika, który wtedy na początku stanu wojennego dał tą przepustkę i spytała się czy to tak ma być, czy to jest decyzja oficjalna, bo tak jakoś sobie poradzą; radzili sobie bez kombajnów, to i teraz sobie poradzą. Ten się wściekł, zadzwonił, udzielono tego kombajnu. Były takie inne... w tym funkcjonowaniu. Ja sam miałem jeszcze rewizję w 84 roku. Już byłem po chemioterapii, byłem zupełnie łysy. Przeprowadzono mi rewizję w domu. Zabrano maszynę, zabrano wiele innych rzeczy, nawet nie dano chyba pełnego wykazu rzeczy zakwestionowanych. Zawieziono na komendę wojewódzką na ulicę Partyzantów w Zielonej Górze. Posadzono pod portretem Dzierżyńskiego. Próbowali mnie naciągać na zwierzenia. Absolutnie nie miałem na to ochoty. Później pod wieczór zwolnili. Później przez dłuższy czas walczyłem o to, żeby mi oddano. W końcu oddali mi maszynę,

natomiast części pozycji zakwestionowanych nie oddali mi. Więc to były te represje. Natomiast ja się zaangażowałem jeszcze przede wszystkim w duszpasterstwo świata pracy w kościele kapucynów w Nowej Soli, którego liderem był Andrzej Gabryszewski, natomiast takim dobrym duchem był ks. Ryszard Śleboda, kapucyn, którego nazwano nowosolskim Popiełuszką. W tej książce jestem niemal pewien, że o nim piszą górnicy, że on ich odwiedzał jeszcze w okresie internowania, kiedy byli ci na leczeniu w szpitalu. On był uhonorowany przez Solidarność chyba w 2000 roku. Od jakiś 2-3 lat nie żyje. Głównie tutaj w południowej Polsce on funkcjonował, chyba w Bytomiu. Tam został też internowany. Ale również funkcjonował tam na Podkarpaciu, gdzie siedzieliśmy. Tutaj działało to duszpasterstwo. Przyjeżdżał Lenkiewicz, następnie profesor Wiszniewski, następnie ta, która gra babcinę w „Plebani” Łaniewska, śpiewaczka Stefania Wojtowicz, Turkowski Krzysztof, Maja Komorowska. Cały szereg osób tutaj działało. U kapucynów jest kronika, więc gdyby zaszła potrzeba, to można to sprawdzić.

Natomiast ja chciałem opowiedzieć o Krystianie Koniku. Był to człowiek pracujący w jakimś, w tym momencie już nie pamiętam, jest tutaj jego relacja, ale on był w informatycznej firmie górniczej pracując w Katowicach. Dzień czy dwa tam był strajk, ale później on upadł, bo to była mała firma i on przeszedł na kopalnię „Wujek”. Na tej kopalni „Wujek” był świadkiem tej masakry, co więcej nawet wyjął kulę z kufajki, któregoś z górników, która przestrzeliła go. W 90 roku jak powołano tą komisję Rokity, to on mając ogromne opory przekazał tą kulę i swoją relację jednemu z członków tej komisji, który okazał się tajnym współpracownikiem i kula przepadła. Krystian Konik ukrywał się do kwietnia 82, w Katowicach mieszkał. Robili mu rewizje w domu bardzo brutalne, małe kilkuletnie dzieci. Potrafili mówić w ten sposób, że „jak twojego tatusia złapiemy, to go zastrzelimy”. Więc to było upiorne doświadczenie. W końcu faceta złapali. Nie mieli na niego dowodów, no to internowali go czasowo i ja się z nim zetknąłem właśnie w końcu lipca w Grodkowie i później siedzieliśmy w jednej celi w Uhercach. On był raczej taki skryty, nie włączał się w takie bardziej hałaśliwe sprawy itd. On prawdopodobnie żył w dużym napięciu takim psychicznym, bo wiedział, że szyją mu buty. 19 listopada już go chcieli wyjąć. Przeglądałem teczki w IPN, to już 17-go zapadła decyzja, żeby go wybrać i aresztować. Wtedy on się schował między internowanymi. My byliśmy zarośnięci, niepodobni do tych z dowodów osobistych i facetowi udało się przetrwać do 30-go listopada, od 19-go do 30-go listopada. Wtedy napisali, że zwolnili sześciu: pierwszych z rana, później Krystiana Konika, mnie, takiego Grabowskiego zwanego „Kaszubem” (bo z Kaszub pochodził, ale był górnikiem) i Jasia Kleckiego z Zielonej Góry, że do zwolnienia. Myśmy zaczęli, wiedzieliśmy do czego to zmierza i liczyliśmy, że jak tak trochę potrwa, to może będzie generalne zwolnienie, a tak jak go tam wezwą, to po prostu zniknie i będzie całkowicie na ich łasce. Odmówiliśmy. Najpierw że się niepoddany rewizji, że nie ma mowy. No to ci mówią, że odpuszczają rewizję. To myśmy zaczęli wydziwiać: to już pociągi odjechały- nie ma sensu. Bezpieka czeka na zewnątrz, a my siedzimy tutaj, andrzejki obchodzimy. Być może byliśmy trochę, okazaliśmy pewną nieostrożność, bo tak normalnie, to żeśmy ryglowali te drzwi, czy potrafiliśmy nawet je zabetonować tak, że długo by to trwało. Nagle wieczorem atanda: kilkadziesiąt osób, tych klawiszy i innych z pałami, z pleksi na ryjach. Wpadło, wywlekli nas stamtąd, wywieźli, zawieźli chyba do Ustrzyk, później chyba jeszcze do jakiejś innej... Przekopali nam te bagaże. Krystiana oddzielili i zabrali go do „Pentagonu”. Tam siedział gdzieś tak jeszcze pół roku. Zajęli mu wszystko za wyjątkiem tapczana w domu, bo komisja podjęła te pieniądze. Później mu umorzono najpierw jedną sprawę o terroryzm, później o te pieniądze. Krystian Konik był

zaprzysiężonym członkiem Solidarności Walczącej później jak wyszedł. Jego relację też tutaj mam w tej książce. Tak że to były takie małe rzeczy, ale to nie był to taki biologizm, że jak najszybciej się wyrwać na wolność, tylko tak jak wtedy 30-u wystąpiło wtedy w kwietniu o zamknięcie w karcerze, żeby kolegę wyciągnąć, tak i tutaj kilka osób gotowa była dłużej posiedzieć, żeby dać szansę koledze siedzieć w znośniejszych warunkach, dać mu to wsparcie psychiczne itd. To była prawdziwa solidarność kiedy płaciło się za to pewną cenę. Stąd też mogę powiedzieć, że również ta grupa internowanych tak długo siedzących to była już ta pierwsza kadrowa, która miała do siebie duże zaufanie. Teraz jak był zjazd Solidarności i tych internowanych w lipcu ubiegłego roku, 2007 roku 21-22 lipca, to atmosfera była całkiem przyjemna i telewizja rzeszowska, której wtedy prezesem, czy wiceprezesem był jeden z internowanych z nami, nakręciło o nas film pt. „Internowani”. Te relacje w znacznej części zachowały się do dnia dzisiejszego, co więcej one się ożywiły, bo część z tych kolegów, np. z Uherzec dosyć twardo się stawiała i wytrzymała prawie jeszcze rok. W bardzo dobrej kondycji jeszcze wytrwali do II pielgrzymki papieskiej w czerwcu 83 roku. Składali dary papieżowi. Natomiast tak jak czytam IPN-skie materiały, to wynika z nich, że w końcu 83 roku zostało tak wyizolowanych, tak było niszczone ich otoczenie, niekoniecznie oni sami, ale każdy kto przyszedł, przywitał się miał pewną rewizję. Więc безпеaka robiła spaloną ziemię, powmontowywała agentów, podsłuchy pokojowe, skryte rewizje i tym podobne rzeczy. Natomiast w Uhercach zrobiliśmy taką rzecz 8 i 10 września. Mieliśmy taką sytuację, że jak nas tam osadzono, to jedno z okien z pawilonu, znajdowało się na ukos od bramy wejściowej i można było utrzymywać kontakt wzrokowy i akustyczny, że tak powiem, w Uhercach z odwiedzającymi. Klawisze jak zobaczyli, że myśmy się tam rozstawili jak trzeba, to wtedy postanowili nam to okno, możliwość kontaktu zablokować. Na kratę naspawali blachę. Normalna blenda to było zbrojeniowe szkło, natomiast tutaj była blacha. No to chłopcy 8 września przy pomocy młotków popukali, blacha spadła, klawisze z drugiej strony rzucali kamieniami, no to ich wyzywali, że są chuliganami. Blacha spadła. No to wtedy znowu naspawali jeszcze mocniejszą. To wtedy 10 września została przygotowana finezyjnie akcja. Po pierwsze zostały zabetonowane zamki na dole i na górze. Przygotowany został wrzątek. Zostały specjalnie okute ławki, one tam stały np. w kaplicy, więc jak kątowniki były, które trzymały nogę, to one zostały tutaj odkręcone, tutaj okute. Więc powstały takie tarany. W nocy, jak to wszystko zostało wyłączone, przygotowany wrzątek, nagle zaczęła się akcja, która trwała około dwóch godzin, półtora, dwie godziny. Walono, te ławki po prostu szły w drzazgi i walono tak od góry, tą kratę podpracowano jeszcze łomem od środka. W pewnym momencie ta cała blenda razem z kratą, z futryną okna i z częścią muru runęła z I piętra. Natomiast na dole drzwi kraty były zalutowane, zabetonowane nie pamiętam czym; to była ślina, popiół i coś tam nie wiem jakiś inny dodatek, tak że to dawało straszliwy cement, który trzeba było wypalić po prostu, wyciąć spawarką. W następnych dniach ta wyrwa niesamowita..., koledzy, żeby zachować pozory praworządności, to zawiesili na tym kratę z tektury. Natomiast jak kolegę jednego zwalniali z obozu, na dole było zaspawane, wobec tego on wyskoczył przez to okno. On wyskoczył, podano mu garyten cały jego dobytek. Natomiast to wszystko, wywalenie tego okna nie było taką akcją samą w sobie. Myśmy tam już w Uhercach, ale również w Głogowie wyglądało, że nie nam zamykano cele, tylko myśmy cele ryglowali od środka, po to że by można było wykopać skrytki, po to żeby można było spokojnie drukować, po to żeby można było robić tzw. biżuterię patriotyczną z monet, i żeby w ogóle nam funkcjonariusze tej służby więziennej nie wchodzili między wódkę a zakąskę. I już tam właśnie w Uhercach to było robione bardzo konsekwentnie, i właśnie to okno, gdzie była wywalona blenda, było potrzebne po to, żeby dać znać, którądy będzie wyrzucane. Z przeciwnej strony od



wejścia np. druki były wystrzeliwane przy pomocy wyrzutni z gum od ekspandorów: deska, zaczeplone to o kraty, w puszcze załadowane te druki i wystrzeliwane to było poza podwójny pas siatki z drutem kolczastym. Tam podbiegał ktoś, przerzucał komuś następnemu, podawał komuś następnemu, można go było sprawdzać. To było bardzo precyzyjne, to była sekundowa robota. Natomiast w tą stronę, no to oczywiście było przerzucanie przez księży, przez odwiedzających, przez wychodzących do szpitala. Bardzo precyzyjnie były lutowane np. w puszkach po konserwach, na wagę, zalutowane bardzo precyzyjnie. Znaczkę, pocztówki robione, biżuteria patriotyczna, to było robione też jako wyraz wdzięczności np. dla lekarzy, dla księży, ale również jako cegiełki na ruch oporu, na tą Solidarność. Co więcej można by powiedzieć? Również tam powstały te więzi. Jak się z kimś siedzi i przez pół roku, czy przez rok obserwuje się go 24 godziny na dobę, to się bardzo dokładnie..., to się nic nie ukryje. Po prostu człowiek nie jest w stanie całymi miesiącami kryć się przed innymi. Stąd też właśnie te więzi, które przynajmniej przez kilka lat, te konspiracyjne, właściwie do Okrągłego Stołu przetrwały. Tutaj one są opisane. Tam nawiązały się przyjaźnie takie, które przetrwały te ćwierć wieku. Cieszę się, że rok temu udało się zrobić to spotkanie. Teraz za kilka miesięcy będą nowe spotkania, jak ta książka się ukazuje.

### **Na koniec pewne uzupełnienia, które dotyczą Pana obecnej sytuacji: mieszka Pan z żoną...**

Tak, z żoną Marią, która również ma piękną kartę konspiracyjną. Jest wrocławianką i działała tam w zapleczu Solidarności. To była ta baza. Na jednego konspiratora musiało być przynajmniej kilkunastu ludzi, którzy zadbali o kartki, którzy zadbali o schronienie, którzy zadbali o to, żeby dzieci były przygotowane do lekcji, żeby dzieci zabrać na wakacje, itd. Działania tego ośrodka informacji cukrownictwa na Klecinie były bardzo ważne dla konspiracji wrocławskiej. Żona również mi służy dużą pomocą jako informatyk. Zdobyła również wiedzę, umiejętności w obsłudze kamery, więc również w powstaniu tej książki, w przepisywaniu tych relacji odegrała bardzo dużą rolę i ta książka wychodzi pod naszym wspólnym imieniem.

### **Czy ubiegał się Pan o odszkodowania?**

Nie, jeszcze nie, ale w najbliższych dniach, czy tygodniach złożę to. Również robię to razem z żoną i z grupą innych ludzi. Pomagam innym pisać. Staramy się to zrobić, to ubieganie się o... przekształcić w okazję do poszerzenia dokumentacji, do wytworzenia źródeł, relacji tych ludzi, pozwy itd., bo to będzie miało walor źródła zaprzysiężonego pod odpowiedzialnością karną. Więc to też uważam za cenną rzecz: uzupełnienie wiedzy i akt IPN-u. Natomiast mogę powiedzieć, że wartość tego odszkodowania, tych 25 tys., to to jest kilka procent strat, które poniosłem. Lepsze to niż nic.

### **Bardzo dziękuje za rozmowę.**

Dziękuję pięknie.

---

### **Dokumenty dotyczące życiorysu p. Andrzeja Perlaka - komentuje małżonka Maria Perlak.**

Pierwszy dokument, to jest decyzja o internowaniu. Zlecono internowanie do MO w Nowej Soli, a mąż został ujęty w Zielonej Górze. Stąd prawdopodobnie obstawa jego rodzinnego domu trwająca przez około tydzień.

Następny dokument to jest decyzja o zwolnieniu z internowania. Na samym dole tego dokumentu widać adnotację, że dokument ten został wręczony zwolnionemu, czyli Andrzejowi Perlakowi, a także jego kolegom odpowiednie dla nich dokumenty na dworcu w Uhercach ze względu na to, że kiedy oni zostali wyrzuceni z obozu internowania, to wyrzucono ich bez dokumentów i po ich protestach, powrocie do więzienia i protestach dowieziono im te dokumenty na dworzec.

Następny istotny dokument to jest zaświadczenie o zarobkach. Problem zarobków byłych internowanych, którzy pełnili funkcje w zarządach regionu, a więc pracowali na etatach w zarządzie regionu, problem dotyczy ich zarobków, ponieważ zapadła decyzja WRON-y o tym, że ich pensje nie były waloryzowane, i w związku z tym tak, jak mieli pensje w momencie internowania, taką samą pensję mieli po rocznym opuszczeniu obozu internowania. W męża przypadku 11.200 to było. I jak widać miesiąc w miesiąc było tyle samo, a tymczasem była wtedy galopująca inflacja. W związku z tym zarobki pomniejszyły się tak, że jak mąż wychodził z obozu internowania, to miał mniej więcej połowę średniej krajowej, a jak wchodził do obozu internowania to miał blisko 180% średniej krajowej.

I następne takie dokumenty, które są istotne dla jego przypadku, to jest tzw. epikryza, czyli to jest opis choroby nowotworowej wydany przez onkologię we Wrocławiu przy ul. Hirszfelda, tam właśnie, gdzie amputowano mężowi nogę. W pierwszej linii tego dokumentu jest omyłka w dacie, bo powinno być 1983, a nie 82. Natomiast z tego dokumentu wynika, że mąż był na leczeniu przez długi okres czasu i w okresie 84 roku był w trakcie naświetlań, w trakcie chemii, w czasie kiedy SB przyszło do niego do domu rewizją. Rewizja jaka odbyła się u niego w domu, tu jest dokument odnośnie tego faktu z marca 84 (odbyła się rewizja), i w uzasadnieniu do tej rewizji napisane jest, że prowadzona jest w związku z pojawieniem się ulotek solidarnościowych na terenie tutaj obecnego powiatu nowosolskiego. Warto tu nadmienić, że działała tutaj nieprzerwanie tajna drukarnia Solidarności Walczącej, która była zakonspirowana w Nowej Soli. Dokument ten miał swoje konsekwencje, mianowicie męża zatrzymano na 48, mimo tego, że po naświetlaniach był łysy, i pomimo tego, że za parę dni miał, na kilka godzin, jak mąż poprawia, i mimo tego, że parę dni później miał znowu zgłosić się do Wrocławia na kolejny pobyt w szpitalu związany z chemią. W związku z tym mąż pisał takie wnioski dotyczące zwrotu odebranych mu przedmiotów, w tym maszyny do pisania. Sprawa w końcu została umorzona, prawdopodobnie w naciskiem postawy męża, gdzie oni musieli dokumentować w odpowiedzi na jego listy stan bezprawia. Po tym jak umorzono tą sprawę mąż złożył zażalenie, że skoro odebrano mu przedmioty, które nie pochodziły z przestępstwa, to jakim prawem oni przetrzymują u siebie maszynę do pisania i inne rzeczy zarekwirowane wtedy w rewizji.

Chciałam jeszcze przedstawić kolejne dokumenty. Te dokumenty są związane z jego działalnością jawną. Pierwszy dokument jest to oświadczenie Solidarności w Zielonej Górze w sprawie wolnych sobót, drugie to jest oświadczenie MKZ-u w Zielonej Górze z 22 stycznia 81 w sprawie symboli religijnych w szkołach. W materiałach zgromadzonych w IPN w teczce obiektowej „Fala” są właśnie materiały dokumenty esbeckie mówiące o tym, że to właśnie była ta ekstremalna działalność męża polegająca na tym, że domagał się, żeby nie było..., że język obcy mogła sobie młodzież wybrać do nauki, a nie był to obowiązkowy język rosyjski, i żeby w szkołach wisały krzyże. Z dzisiejszej pozycji, kiedy krzyże wiszą, a język można wybierać, to widać, że to jest sukces Solidarności, i że osiągnęliśmy to, o co żeśmy walczyli przynajmniej w tym zakresie.

Kolejne dokumenty to są zachowane jedyne jakie mamy w domu druki pism z tej siatki, w której mąż pracował. Więc pierwszy dokument to jest AIS i kolejny dokument, to są widać pisma wielostronicowe, to jest KAT.

Natomiast wśród pamiątek zachowały się też koperty z obozów internowania, a także pamiętnik, jaki mąż pisał już po powrocie do domu, a więc w 83 roku w styczniu, 21 stycznia jest pierwszy zapis. Ten pamiętnik mówi o jego losach do chwili internowania. Ze względu na to, że później już mąż pracował w konspiracji, no to nie miał czasu i nie chciał narażać bliskich współpracowników przez to, że będzie ich nazwiska wymieniał, a tak pisanie ogólnikowe stwierdził, że nie ma istotnego znaczenia. Wśród pamiątek zachowały się też pieczętki wyryte przez niego w obozie internowania, które przechował u siebie Konik, przemycił na zewnątrz i przechował. I te pieczętki też mamy u siebie w domu. Odbite ksero prześlemy.